

EWA PAPE I JEJ KOLEKCJA POLSKIEJ SZTUKI

Kim jest Ewa Pape? Urodzona we Lwowie, chciała studiować medycynę, ale poszła na ekonomię, nie ukończyła jej, przez pewien czas była w Wyższej Szkole Plastycznej w Łodzi, potem robiła meble, ceramikę, fotele ze sznurków, biżuterię. W 1962 r. wyjechała do Stanów Zjednoczonych, tam studiowała sztukę w Nord West University (stan Michigan). W Chicago wyszła za mąż za biznesmena, prezesa koncernu żywnościowego. Nudziła się, chciała coś robić. Zaprosiła z Polski do siebie Adama Niemczyca, malował, pomógł jej wiele w artystycznej edukacji, zrobiła mu wystawę w Harvardzie, Miami. Był to sukces Niemczyca, no i jej. Zaczęła działać jako menager.

Przyjęła obywatelstwo amerykańskie, ale kontaktów z Polską nie zerwała. Zaczęła działać w środowisku polonijnym, powoli wgrzyzać się w środowisko amerykańskie. Z Polski przywiozła trochę dzieł sztuki, 60 obrazków Nikifora zbieranych jeszcze przed wyjazdem. W 1967 roku urządziła wystawę akwarel Nikifora ze swoich zbiorów. Miała wówczas tych akwarel 220 (dziś ma ok. 300). W nowojorskiej Beadly Gallery pokazała 180. Jedenaście sprzedała wytrawnym kolekcjonerom.

Ileć raz przyjeżdżała do rodziny, do Polski, kupowała, brała w komis obrazy i rzeźby. Urządziła drugą wystawę Zbigniewa Makowskiego, Tadeusza Brzozowskiego i Adama Niemczyca. Zaczęła organizować wystawy mieszane, ale zawsze z udziałem polskich artystów. Wystawiała ich prace

w różnych galeriach. Jej zbiory zaczęły rosnać.

Nie znalazłem dawnej, polskiej Ewy Pape. Po kilkunastu latach wydaje się już bardzo amerykańska. Myślę, że bardzo jej na tym zależy. Gdy co roku przyjeżdża na kilka tygodni, zajmuje stale ten sam, najlepszy apartament w hotelu „Europejskim”, częstuje ciągle przewijających się gości drinkiem, ma wynajętego Mercedesa, bezustannie jeździ od pracowni do pracowni. Jak Amerykanka — narzeka, że Polska stała się drogą, wyklóca się w BHZ „Desa” o cenę obrazów, wtedy przestaje imponować swą amerykańskością — w końcu kupuje od plastyków, tłumaczy, że to dla nich reklama, szansa startu.

W tym roku wystąpiła w telewizyjnym Tele-Echu, i bardzo było ciekawe oglądać obie panie: Pape i Dziedzic. Mają coś wspólnego, pierwsza dama telewizji i amerykańska Ewa, zadająca w Polsce szyku, obwieszona ciężkimi wisiorami, biżuterią, którą przeważnie sama projektuje. Pani Pape nie rozstaje się z małym, rozczochranym pieskiem, dla którego spacer wokół hotelowej palmy w doniczce jest wyczerpującym wyczynem. „Fylyp”. Ale pani Dziedzic nie zgodziła się na „Fylypa”. Patrzyliby na niego, a nie na nas — powiedziała.

Po kilku latach przyjazdów do Polski, kontaktów z całym naszym high-life’em artystycznym, niełatwych rozmów w BHZ „Desa” — Ewa Pape ma w swoim domu w Los Angeles prawdziwe muzeum polskiej sztuki — współ-

Il. 1, 2. Ewa Pape i zorganizowana przez nią wystawa polskiej rzeźby ludowej i malarstwa naiwnego w galerii „The Egg and the Eye” w Los Angeles.



czesnej i ludowej. Ma wszystkich, którzy się liczą — Brzozowskiego, Gierowskiego, Dominika, Kobzdeja, z klasyków awangardy: najstarszy obraz Stażewskiego z 1924 r. i Jaremiankę, ma młodych, którym rzeczywiście stwarza szanse zahaczenia się o amerykański rynek, ma prace malarzy i rzeźbiarzy, którzy u nas są poza głównym nurtem życia artystycznego, jak np. Żechowski. Obrazy jego pokazała w 1973 r. na wystawie „Polska sztuka erotyczna”. (Znalazły się tam jeszcze m. in. prace Berdyszaka i Zajęca).

Z rzeźb ludowych ma Kudłę, Adama Zegadłę, Krajewskich, Lamęckiego, Korpę i wielu innych. Malarstwo „naiwne” reprezentują w jej kolekcji — Ociepka, Maria Korsak, Plaskociński. Ociepki ma 12 obrazów, a więc znacznie więcej niż Muzeum Etnograficzne w Warszawie. W sumie domowa galeria Ewy Pape przekracza już 700 pozycji. Mieszkanie jej jest jednocześnie wystawą polskiej sztuki — profesjonalnej i nieprofesjonalnej.

Trzeba też dodać, że pomaga ona naszym plastykom w amerykańskim starcie, zaprasza co roku dwóch — trzech do siebie, organizuje im wystawy. Współdziała z Fundacją Kościuszkowską, która przyznaje naszym artystom stypendia, pomaga w zamierzeniach wystawowych, wydawniczych.

Tylko w ostatnim okresie wystawiła w The Santa Barbara Museum of Art (w Kalifornii) *Three polish artists: Józef Twirbutt, Zbigniew Makowski, Anna Güntner* (30.III.—28.IV.1974); w galerii The Egg and the Eye (Los Angeles, 13.XI.1973—6.I.1974) *Naive Art of Poland* z podtytułem *The Eva Pape Collection*; w Esther — Robles Gallery (La Cierga, 4—30.III.1974) *Painted objects by Witold Masznicz* oraz *Naive Paintings Jan Plaskociński*.

Ewa Pape ma teraz pozycję. Tu, u nas owiana mitem bogatej Amerykanki, mecenas sztuki i młodych artystów. Tam — nie ma co owijać w bawełnę — dzięki temu mecenasowaniu, dzięki wystawom, które organizuje — też jest „kimś”. Więc nie tylko żoną byłego bossa z przemysłu spożywczego (byłego, bo gdy skończył 40 lat, uznano, że ktoś młodszy będzie na jego miejscu bardziej sprawny), ale miłośnikiem i znawcą sztuki, posiadaczką domu-muzeum,

marchandem, organizatorem wystaw. Bardzo to „amerykańskie” i jakże inne od naszego modelu kolekcjonera.

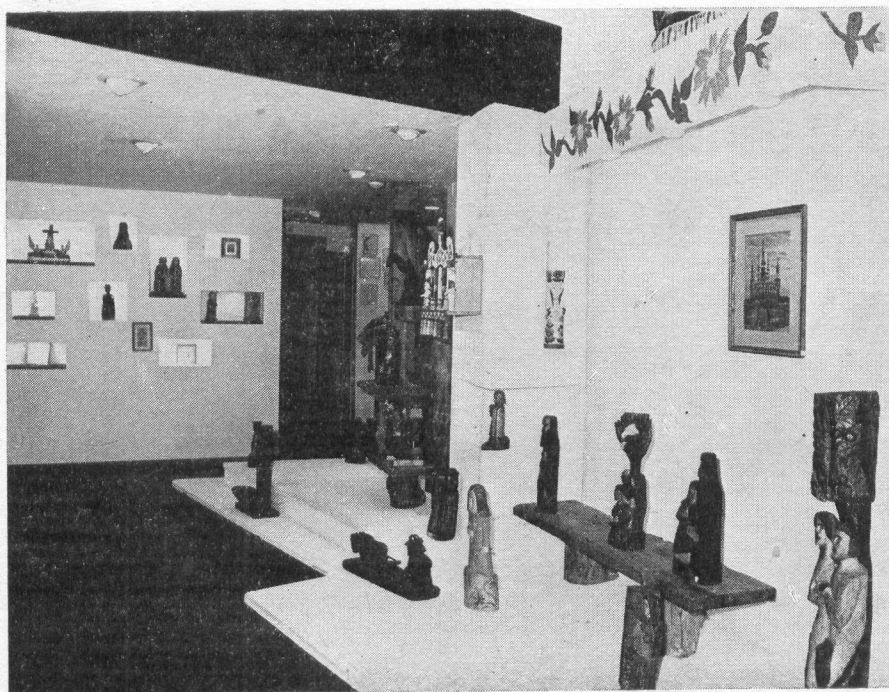
U nas zbieracz jest idealistą, mamy mu za złe, gdy sprzeda coś, a zwłaszcza, gdy o tym mówi. Ale Ewa Pape ma kolekcję współczesnej sztuki, większą przecież niż przeciętne nasze muzeum, a przy tym traktuje ją jak salon sprzedażny, co roku wiele prac idzie do muzeów, prywatnych galerii, na wystawy organizowane przez p. Pape (np. wielka wystawa rzeźby ludowej w grudniu 1973 w Santa-Barbara Museum, Los Angeles).

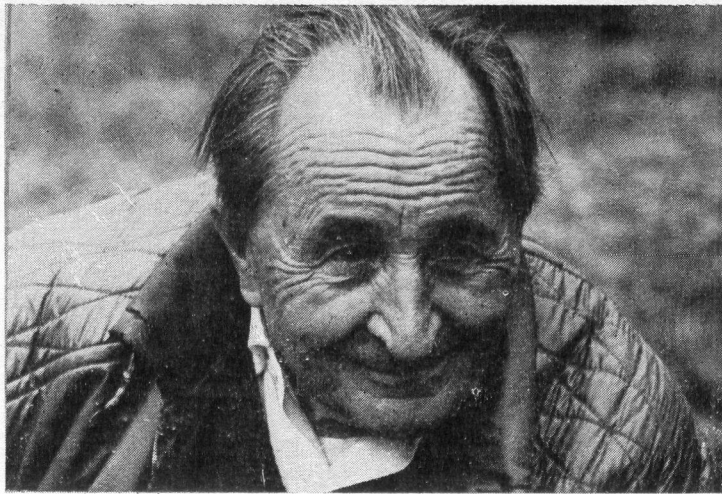
W Stanach nawet duże muzea muszą obracać dziełami sztuki, mieć pieniądze na utrzymanie zbiorów i kupno nowych prac. Ewa Pape nie lubi, gdy kupują właśnie to, do czego się przywiązała. Ale trudno... dzięki temu może znowu przyjechać po pół roku czy roku, znowu kupić kilkadziesiąt nowych obrazów i rzeźb.

Jej kolekcja ma z naszego, krajowego punktu widzenia niezaprzeczalną wartość. Jest to nasze „okno na świat” — w Stanach Zjednoczonych, które są trudnym rynkiem, i gdzie trzeba mieć dużo szczęścia, aby stać się „kimś”. Jest to wizytówka naszej kultury, nareszcie nie tej Polski wiejskich strzech i szumiących łąnów, ale Polski, która jest krajem o żywej, bogatej kulturze współczesnej. Nie dziwnego, że od lat mówi się o stworzeniu na bazie tej kolekcji polskiego muzeum sztuki w Stanach. Może pod egidą Fundacji Kościuszkowskiej? Sądzę, że sprawa jest ważna i realna, i warto, aby włączyły się w nią: Ambasada nasza w Waszyngtonie, Towarzystwo „Polonia”, Ministerstwo Kultury i Sztuki.

Kolekcja Ewy Pape jest pożyteczna i z całkiem prozaicznego powodu. Jest „rynkiem zbytu” dla naszych twórców.

Słyszałem jednak obawy o odpływ rzeczy najlepszych — bo trzeba przyznać, że p. Pape wybierać umie. Nie podzielał tych obaw. Ostatecznie najlepsze prace sami artyści dają na wystawy, na komisje zakupów. A jeśli czasem muzea coś przegapia, a Ewa Pape weźmie — nie stanie się nieszczęście. Jej kolekcja ma sens dla naszej kultury, dla ugruntowania rangi naszej sztuki.





Jan Pluciński

LUDOWE ZBIORY W CHOCHOŁOWSKIEJ SZKOLE — SMUTNE WSPOMNIENIA

Gdy rozwiązano w Culichowie (pow. grodkowski) Uniwersytet Ludowy, którego przez trzy lata byłem dyrektorem, proponowano mi różne posady na Śląsku, chciałem jednak powrócić na Podhale, aby być bliżej Spisza. Do tego też przyczyniła się moja żona, która zaczęła tęsknić ogromnie za górami. Po wielu kłopotach otrzymałem posadę kierownika szkoły w zasłużonej i sławnej wsi Chochołowie.

Szkoła była stara, z pokrzywionymi ścianami, jedną klasą do nauki i mieszkaniem kierownika. Drewniany budynek otaczał z jednej strony zbiornik gnoju sąsiada, z drugiej — ustępy szkolne, a z trzeciej — droga publiczna.

Już po raz trzeci Gromada zbierała materiał na budowę nowej szkoły. Szło to wszystkim ociężałe, bo zgromadzony materiał dwa razy zniknął, a w starej ruderze, ciemnej, w niezdrowym otoczeniu dzieci siedziały nad książkami — wdychając wyziewy z obory. Niestety budowy nie wprowadzono do Planu 6-letniego.

Zacząłem więc szukać przyjaciół we wsi, chodzić po chałupach, nawiązywać kontakty z ludźmi dobrej woli, by jej budowę uwzględniono w Planie. Początkowo wszystko szło bardzo opornie, ludzie przestali już wierzyć, że uda się doprowadzić do wybudowania nowej szkoły. Ale nasze wysiłki zaczęły w końcu dawać rezultaty.

„Rok 1952/53 — W tym roku nastąpiło ożywienie w związku z budową szkoły, kilkakrotnie wyjeżdżała delegacja z Prezydium Gminnej Rady Narodowej do Wydziału Oświaty przy Prezydium Pow. Rady Narodowej, do Wojewódzkiej Rady Narodowej, do Kuratorium Okręgu Szkolnego w Krakowie, do Ministerstwa Oświaty w Warszawie. Niemordowanymi pracownikami okazali się ob. ob. Jackowniak Józef sołtys, Mola Mikołaj, Krupa Leopold, Wilczek Jan i Wetulowa Julia. Ludzie ze wsi często manifestowali swe wypowiedzi na temat budowy szkoły. Nie chcieli uwierzyć, aby to marzenie żyjące od 50 lat miało się spełnić. Zaczęto realnie pracować. Ob. Mola Mikołaj wyjechał na Zachodnie Ziemie, gdzie kupował stare budynki, rozbierał je i cegłę posyłał do Chochołowa. Sołtys Jackowniak pilnował lasu, gromadził drzewo. I cegłę i drzewo zwozili ofiarni chłopcy. Dużo kłopotu sprawiła nam wymiana odpowiedniej parceli pod budowę szkoły... ale i tutaj dokonali ludzie dobrej woli zwycięstwa. — Na napisany list do Biura Zażeń i Skarg przy CK-ZSLu w Warszawie przyjeżdża specjalna Komisja do zbadania naszych kłopotów. Widzimy, że czynniki rządowe i partyjne zaczynają się interesować

naszą budową. Komisja widzi już drzewo, cegłę i wysiłek ludzki. Staramy się o włączenie do planów inwestycyjnych. Wszyscy architekci oddalają nam wykonanie planów na nieograniczony czas. Pierwszy plan wykonał architekt z Nowego Targu. Jednak planu jego nie zatwierdzono. — Po wielu szukaniach i kłopotach natrafiliśmy na młodziutkiego, energicznego inżyniera architekta ob. Freyera Andrzeja, który podjął się wykonania planu”. („Kronika szkolna”).

„Rok 1953/54 — (...) Plan inżyniera-architekta ob. Freyera zostaje zatwierdzony. Dzięki pomocy Polski Ludowej przystępujemy do budowy naszej szkoły, której od „Poruseństwa Chochołowskiego nie można było ruszyć z miejsca”.

(...) Praca ruszyła z miejsca, a była bardzo żmudna i powolna, bo ściany zewnętrzne układało się z kostek kamienia piaskowca. Każda kostka musiała być dokładnie obrobiona i dopasowana, a tylko wewnętrzną stronę ścian wykładano cegłą. Kamienie wożono najpierw z Chochołowa, potem próbowano dobierać w Witowie, piasek znajd Czarnego Dunajca. Pierwsze wapno z Rogoźnika — a następnie z kamieniołomów od Krakowa... Trawersy przybyły z Ziemi Zachodniej, żelazo na sklepienie z Gliwic. A ponieważ rozpoczęto budowę sposobem gospodarczym — trudności wielkie były przy nabywaniu materiału budowlanego, jednak dało się to wszystko wykonać przy pomocy PZPR, Pow. Rady Narodowej, PZGS i GS.

(...) Nasza szkoła mała — o 4 klasach, sali gimnastycznej, kancelarii, gabinecie fizycznym, bibliotece, świetlicy, pokoju nauczycielskim. Na piętrze, a raczej poddaszu — ma być mieszkanie kierownika szkoły i nauczycieli.

Budynek o stylu podhalańskim (dach kryty gontem), parterowy, z pomnikiem powstańców chochołowskich na froncie, z boiskiem sportowym, ogródkiem doświadczalnym i budynkami gospodarczymi...

(...) Z końcem czerwca 1956 r. urzędowo oddano naszą szkołę miejscowemu Komitetowi Budowy Szkoły. Przy oddawaniu był obecny przedstawiciel ref. inw. przy Inspektoracie szkolnym, ob. ob. Jackowniak Józef, Mola Mikołaj i kier. szkoły Pluciński Jan.

(...) W drugiej połowie sierpnia odbyło się uroczyste oddanie nowej zbudowanej szkoły ludności.”

Zbudowaliśmy szkołę piękną, okna duże, sale widne, w salach wszędzie parkiet, przy drzwiach — klamki ręcznej roboty, centralne ogrzewanie, elektryczne oświetlenie,

w hallu żyrandole kowalskiej roboty, tak samo krata przy drzwiach szklanych, a sufit we wszystkich salach na tragarczycach ze świerkowych desek, a powała w hallu — tragarczycy ułożone w kwadraty. Pod powałą umieszczono ozdobne listwy, a za nimi niewidoczne z zewnątrz rury centralnego ogrzewania. Przypominało to chatę wiejską. Uprzytomniłem sobie w czym było to podobieństwo. Listwy! Przecież wyglądają podobnie jak podhalańskie „listwy” czy spiskie „rómy”. Tam gazdowie stawiali obrazy malowane na szkłe, tam też przed obrazami były białe „szajbicki” ozdobione „kohutkami, rózyekami, lelujami i inksymi kwiateckami” a nieraz postaciami ludzi i zwierząt. Obrazy pochylano do podłogi, by święci mogli wspomagać w pracy i w ogóle w życiu „gazdów”, a „szajbicki” (talerze) — by mogły siać swoimi „malunkami” radość wśród żyjących. Poniżej rzeźbionych krańców listwy były powbijane rzeźbione kolki, na których „gaździny” lubiły wieszać garnuszki, dzbanuszki a gazdowie „flinty”, torbki strzeleckie, rogi na proch i na kule.

Przypadkowo znalazłem się w szkole w Jabłonce, gdzie na ścianie korytarza wisiała stara, piękna, ryzowana „półeczka” i łyżnik. Przyszła mi na myśl moja szkoła. Koniecznie trzeba wypełnić pustą przestrzeń ludowymi zabytkami.

Zaapelowałem do uczniów całej szkoły, by zwrócili uwagę na stare przedmioty, nieraz zawadające w domu albo wyrzucane do sieni, na strych, czy wręcz gnijące pod gołym niebem. Młodzież prośbę moją przyjęła z zapałem. Zaczęto przynosić z domów różne stare, jak je nazywano — „graty”. A ja tylko zapisywałem nazwiska tych, którzy je znosili. Zorganizowałem nawet konkurs, kto więcej przyniesie tych okazów dawnego rzemiosła chłopskiego.

Zachęczone tym dzieci zaczęły znosić najprzeróżniejsze narzędzia, naczynia, sprzęty, a nawet części strojów ludowych. W konkursie zdobyli pierwsze miejsce Tokarscy — synowie miejscowego garncarza. Ojciec ich toczył miski, garnuszki, dzbanki, garnki, wazoniki, a matka ozdabiała je pięknymi wzorami.

Wszystko to gromadziłem w pokoju nauczycielskim. Jedne władze szkolne chwaliły mnie za to, inne nie ganiły, ale zarządziły, abym to usunął z pokoju nauczycielskiego. Nie chciałem się z tym pogodzić, znalazłem więc takie miejsce, gdzie mogły te uzbierane przedmioty w spokoju

pozostawać. Wsadziłem je wszystkie do tej pustej przestrzeni za listwami. W izbie chłopskiej najdroższe i najpiękniejsze przedmioty przechowywano za listwami, niech więc to samo dzieje się i w szkole. Po wszystkich klasach i innych izbach śmiały się uzbierane przedmioty do dzieci. Naturalnie najwięcej ich było tam, gdzie uczył się Tokarski.

Dyrektor Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem — Juliusz Zborowski był kiedyś moim profesorem. Miałem wielki szacunek dla jego pracy, często u niego bywałem. Wspomniałem mu o moich poczynaniach w związku z ratowaniem zabytków. Nic mi nie odpowiedział. Wyglądało jakby nie pochwalał tej działalności. Okazało się później, że miał rację. W późniejszych rozmowach wyjaśnił mi, że zbiory muszą mieć odpowiednie miejsce, w którym można je spokojnie oglądać, gdzie są zabezpieczone i nie narażone na zniszczenie. Nad zbiorami musi być stała opieka, a szkoła nie nadaje się na to.

Przekonałem się zresztą o tym osobiście. Unoszący się w szkole kurz osiadał na eksponatach. Trzeba było je często wycierać. Rączki dziecinne skrzętnie to wykonują, nieraz przy czyszczeniu upuszczaly przedmiot, przez co go niszczyły. Wysokie i odległe ułożenie przedmiotów pod samą powałą nie sprzyjało dokładnej obserwacji, umieszczenie obiektów — zwłaszcza drewnianych — koło rur, powodowało rozsychanie się naczyni, przez co obrączki spadały, a „bednarki” się rozlatywały.

W 1958 roku zaczęto organizować w Nowym Targu wystawę sztuki ludowej. Zaproszono mnie na członka Komitetu przygotowującego wystawę.

Artystka-plastykka Wanda Widigerowa (Tippenhauserowa) z Zakopanego, która współpracowała przy organizacji wystawy, namówiła mnie, aby pokazać również zbiory szkoły. Pisała w liście: „Szanowny Panie! Akurat miałam pisać do Pana, gdy doręczono mi list pański. Nie mogłam dojechać — jak dotąd do Chochołowa, bo mam tysiące niespodziewanych, ważnych spraw. Byłam w Warszawie w Ministerstwie i prosili mnie tam, aby Pan dostarczył na konkurs w Nowym Targu wszystkie zebrane przez dzieci rzeczy, tak jak każda klasa zebrała. Dzieci dostaną odpowiednią nagrodę. Co będziecie chcieli sprzedać kupią, dając Wam pieniądze na kupno, czego Wam trzeba w szkole.” (list z listopada 1958 r.). Pani Widigerowa przyjechała wkrótce potem do nas, pomogła wybrać eksponaty. Nie był

II. 2. Nowa szkoła w Chochołowie im. Powstańców Chochołowskich.



to jednak koniec pracy. Przytoczę fragment listu z połowy listopada 1958 r. od pani Białońskiej z Domu Kultury w Nowym Targu.

„Kochany Panie Jaśku! (...) przed chwilą przeczytałam list od Pana. Wszystko jest dobrze, co Pan załatwił, czy komu coś przyobiecał. Konkurs zapowiedziany jest na 4—5 grudnia i wysłałam już zaproszenia. Pod koniec miesiąca przyjedzie wóz ciężarowy i będzie wszystko zabierał, co będzie do zabrania. (...) Mam szalone trudności i wiele kłopotów. (...) Proszę nie upadać na duchu, jakoś doprowadzimy do końca wszystko. Łączę pozdrowienia...”

Z różnych świstków i notatek spróbowałam odtworzyć sobie co dostarczyłam ze swojej szkoły na wystawę: drajfus, świder do wiercenia, ozdoba ze starych sanek, strug do kopyt, 2 korby drewniane, strug dwuosobowy, 2 piszczałki, 5 łyżników, kłódka, kłapace, 2 lampaski, 2 krzesła, kocioł na wodę, 2 pary kierpców, waga, motowidło, giby, 2 bloty, falfa, deska na rękawice, hospinki, kołowrotek, solniczka, 2 oselniki, krążel, toporka do kierniczki, cepy, 2 ocydzarki, pucek, łapka na myszy, tłuczka do ziemniaków, 8 dzbanuszków, 9 misek, 7 garnków, wazonik, widły drewniane, oparcie do krzesła, rzeźba — głowa chłopca z Kobylicy, 12 oboniek, 6 stępek, 2 konewki, 2 rajtocki, 3 dzieżeczki, redykalka, forma na oscypki, 4 czerpaki, 1 czółenko.

Aby zebrać więcej eksponatów wędrowałam po okolicznych wioskach, jak Ząb, Czerwienne, Czarna Góra, Jurgów, Ratulów, Ciche, Miętusowo, Witów, Nowe Bystre, Między-czerwienne, Dzianisz. Przyjmowano mnie chętnie, goszczono, wyciągano ze skrzyń odzież, pokazywano różne posiadane przedmioty. Wiele z nich wysłano na wystawę. Kierpee damskie i męskie, pasek na zegarek, gorsety, poszewki, formy na oscypki, 4 cyrunki, gelety, torby bacowskie, mieszki na tytoń, jadwigę, spinki, kotliki, oposki, ciupagi, parzenie czarnogórską, parobską, chłopską, motowidło, kądziel wartką, „Poniezusa Frasośliwego”, fajki, spodnie góralskie, zawiasy, różne hafty, dzbanki, uprząż końska, plugi, okucia do dyszla. Nie zawsze były to zabytkowe egzemplarze, były też nowe, artystycznie i stylowo wykonane. Ile ich zakupiono, ilu artystów chłopskich obdarowano wysokimi nagrodami — tego nie pamiętam.

„Po wystawie zastanawiano się nad tym, jak by mnie wynagrodzić, bo wszystkie moje eksponaty chciano zabrać do nowo powstającego Muzeum Etnograficznego w Warszawie. Poprosiłem o telewizor. Chętnie na to się zgodzono. Zaznaczyłem, aby go przydzielili nie mnie, lecz dzieciom i ich rodzicom, gdyż dzieci zbierały zabytki a rodzice je dawali. I dnia 28.I.1959 r. przywoziłem sam z Krakowa telewizor marki „Orion”. Co to nie było? Cała wieś ucieszczała na seanse telewizyjne, jakie odbywały się w szkole. Powstało wiele zamieszania, straty czasu. Obowiązywało uczestniczenie w kapeciach, a nie w tym obuwii w jakim ludzie przyszli. Wybito mi kilka szyb. Ciężko to przeżywałem, ale ludność zbliżyłem do świata.” (Odpis z kroniki szkolnej).

Tak więc z kilkuset zabytkowych przedmiotów artystycznych i kultury materialnej (ile ich było? — na jednej z kartek znalazłem zapis: Dach Zofia, klasa V, garnek gliniany nr 485) — część poszła do warszawskiego muzeum, część zakupiło Muzeum Tatrzańskie, a część pozostała w szkole, zdobiąc jej wnętrza.

Zbiory nasze bardzo się zmniejszyły. Smuciło mnie to, ale zauważyłem, że podobnie stało się i w innych szkołach, gromadzących zabytki góralskiej kultury. A zbierano w niejednej szkole. Wiem na przykład, że wiele przedmiotów zgromadziła w Witowie kierowniczką szkoły Gizela Majchrowicz, a w Podezrwonem — Jan Możdżeń, umieszczając je na półkach w przedsionku szkoły. Duży zbiór stworzył w 1959 r. dr Mieczysław Adameczyk w kierowanej przez

siebie szkole w Cichem. Przedmioty umieszczał na ścianach budynku, na pięknych półeczkach (ciekawe, co się dzisiaj dzieje z tym zbiorem, jakie spotkały go losy?). Najpiękniejszy i najlepiej zinwentaryzowany zbiór stworzył kol. Jaworski w Dzianiszu, wiosce leżącej na uboczu i rzadko odwiedzanej przez turystów. Dzięki temu osiągnął wiele rzadkich i dawnych eksponatów. Umieścił je w hallu szkoły, na wszystkich ścianach, grupując przedmioty działami, tak że od razu wiadomo było, do czego służą.

Kierownik szkoły w Rabie Wyżnej, Wiktor Piasecki, rozmiłowany w historii, zbierał wszelkie wiadomości oraz książki o historii regionu, rniął też duży zbiór dawnych monet — nie licząc przedmiotów kultury materialnej.

Doktor Wałach, zakochany w dawnym świecie, pracujący obecnie w Pyszówce, zgromadził też wiele przedmiotów starych, tak samo i dyrektor szkoły w Jablonce na Orawie, Andrzej Haniaczyk.

Zbierano i chroniono zabytki także w Kiczorach, w Harkabuzie, Lipnicy Małej i innych miejscowościach, których już dziś nie pomnę. Cieszyło mnie to, podziwiałem pracę mych kolegów, a jako kierownik Szkolnego Powiatowego Ośrodka Krajoznawczo-Turystycznego przy Wydziale Oświaty mogłem ich zachęcać do zbierania i chronienia śladów przeszłości.

Nasze zbiory wielce się pomniejszyły, ale stało się to nie tylko w Chochołowie — lecz i Cichem, jako też i w Dzianiszu.

Co się dziś dzieje z tymi zbiorami? Kto zakupił zbiory w Cichem? Kto w Dzianiszu? Nie wiem. W której szkole są jeszcze zbiory? Też się nie orientuję. Wiem, że do szkół zgłaszało się wielu chętnych nabywcia dawnych przedmiotów góralskich.

Pożegnanie z moją szkołą bardzo ciężko przeżywałem. Po oddaniu inwentarza szkolnego — zaczęto porządkować resztki zbiorów. Część ich została uznana przez nowe władze szkolne za godne pozostawienia w szkole, resztę — postanowiono usunąć. Te same ręczki, które gromadziły zabytki, wносиły na korytarz przed moim mieszkaniem resztki wycofanych części zabytkowych rzeczy. Każdy taki stuk upadających części naczyń, czy sprzętów, słyszałem i każdy taki odgłos biwał mi się w serce. A kiedy już wszystko ucichło, zdobyłem się jeszcze na to, że każdą deseczkę, ucho, dno, obrączkę, „bednarke” przytulałem do siebie i wynosiłem na strych, gdzie układałem pod strzechą. Coś mnie tam zabolalo, coś mi serce ścisnęło, boć to było pożegnanie z tym, co tak bardzo ukochałem.

Po przejściu na emeryturę nie zapominałem o resztkach zbiorów szkoły w Chochołowie. Część, tę ze strychu przejęło Muzeum w Nowym Targu, powstaje tam bowiem izba regionalna w zagrodzie Błaszyńskich. Ale innych okazów, które były za listwą, nauczycielstwo nie wydało. Chcąc jeszcze i tę część ratować, pozbierałem różne zapiski z moich papierów, pojechałem do Chochołowa, bardzo prosiłem by jedna z pań zajęła się spisaniem tego, co jeszcze zostało. Pani tej, aby pomóc w tej pracy, oddałem moje zapiski.

Niestety i to zakończyło się klęską, bo zaufana odjechała, a notatki razem z nią wyfrunęły, a proszona listownie o zwrot zapisków — nie raczyła nawet odpowiedzieć.

Dzisiaj, gdy mnie zaproszą dzieci do szkoły w Chochołowie, oglądam w hallu resztki „muzeum”, którym się tak dzieci, jak i cały personel nauczycielski mógł pochwalić.

Były to zbiory piękne, szermiały od dymu w kurnych chatach, wypoliturowane przez długie lata, pamiątki po pradziadkach, no i „rozeszły się”, poszły w szeroki świat...

A może to dobrze? A może właśnie dostały się do dobrych rąk, które je z miłością pieczą, szanują, na honorowym miejscu stawiają? A może taką drogą uniknęły rozbicia siekierą i spalenia?